

Wyberzmy z orbanomiki to, co najlepsze

3 marca 2015

Budapeszt w Warszawie przestał już być mile widziany. Okazało, że z tegoż Budapesztu może być już tylko rzut beretem do Moskwy, więc stolica Węgier straciła na atrakcyjności nawet dla tych, którzy byli w nią zapatrzeni najmocniej. Skądinąd zupełnie słuszenie. Problematyczna jest już sama koncepcja szukania dla Polski wzorów do naśladowania za granicą, ale jeśli koniecznie musimy to robić, to zdecydowanie lepiej byłoby zerkać raczej na północ niż południe – i obwieścić w Warszawie drugi Sztokholm lub Helsinki. Zasadniczo jednak jestem zwolennikiem budowania w Warszawie Warszawy, w Krakowie Krakowa, a w Katowicach Katowic. Dobre zagraniczne praktyki warto zawsze gruntownie przemyśleć i przepuścić przez filtr rodzimych uwarunkowań, żeby potem się nie okazało, że próbowaliśmy usilnie zrobić śpiewaka operowego z urodzonego hiphopowca. A przecież hiphopowca też da się okiełznać, uspokoić i wprowadzić na odpowiednie tory, z korzyścią dla wszystkich wokół – wystarczy tylko odpowiednio do niego podejść.

Na poszukiwania dobrych praktyk możemy udać się także nad Balaton, nawet pomimo tego, że węgierski przywódca (zwany przez niektórych czule Victatorem) nazbyt ochoczo brata się z pewnym pełniącym obowiązki prezydenta eks-kagiebistą, niechętnie patrzy na sądy konstytucyjne i niektóre media. Niedobrze byłoby, gdyby w wyniku słusznego oburzenia na, delikatnie mówiąc, dyskusyjne posunięcia Orbana umknęło nam kilka naprawdę godnych uwagi pomysłów, które lider Fideszu zrealizował lub dopiero zamierza. Przecież fakt, że w podobny sposób zaczniemy sobie radzić z zagranicznymi korporacjami nie musi od razu oznaczać, że w następnym kroku wyślemy na emeryturę sędziów Trybunału Konstytucyjnego.

Dał nam przykład Orban jak zwyciężać z korporacjami już podczas jednej z pierwszych swoich batalii. Stoczył ją z węgierskimi odpowiednikami otwartych funduszy emerytalnych. Obrął inną taktykę rozwiązania problemu częściowo sprywatyzowanych emerytur niż władze nad Wisłą i trzeba powiedzieć, że była to taktyka dużo bardziej zdecydowana. Postawił przed Węgrami jasny i uczciwy wybór: albo przechodzicie w całości do systemu publicznego, albo zostajecie w prywatnych funduszach i tracicie prawo do państwowej emerytury. Jako że idee wolnościowe atrakcyjne są głównie na poziomie deklaracji (zwłaszcza tych wygłaszanych w internecie), ludzie tłumnie rzucili się do wybierania pierwszej opcji. W efekcie tamtejsze OFE de facto przestały istnieć. Operacja przyniosła budżetowi ok. 10 mld euro i zatamowała wyciek publicznych środków z systemu. Naszym rządzącym zabrakło niestety cojones, by sprawę przeprowadzić w równie zdecydowany sposób. W naszych OFE zostało wciąż ok. 150 mld zł, a część tej kwoty należy do tych, którzy wcale w systemie emerytur kapitałowych być nie chcą. Co więcej, 3 proc. wynagrodzeń 2,5 mln Polaków, zamiast zasilać publiczny system, wciąż trafia do prywatnych funduszy, aby te mogły beztróska grać na giełdzie. A przecież zamiast tworzyć skomplikowane wygibasy prawne, które miały OFE wybić zębami w taki sposób, żeby im broń Boże szczęki nie naruszyć, można było po orbanowsku postawić Polaków przed jasnym wyborem – jestem pewny, że nasza reakcja byłaby identyczna jak obywateli znad Balatonu.

Kolejnym aktem suwerennej polityki ekonomicznej w wykonaniu węgierskim było wprowadzenie podatku kryzysowego. Początkowo miał objąć jedynie banki, jednak dość szybko został rozszerzony na firmy telekomunikacyjne, energetyczne i największe przedsiębiorstwa handlowe. Miał on formę podatku obrotowego, a więc obliczany był od przychodu, a nie tylko od wykazanego dochodu, którego ukrycie nie jest, jak wiemy, problemem dla międzynarodowych koncernów. Ten progresywny podatek – podmioty z największym obrotem płaciły najwyższe

stawki – dochodził nawet do 6,5 proc. w branży telekomunikacyjnej. Dla innych obciążonych nim segmentów był trochę mniej surowy – w handlu osiągał do 2,5 proc. W sektorze bankowym, w którym wciąż obowiązuje, wynosi zaledwie 0,53 proc. sumy bilansowej, ale trzeba pamiętać, że tamtejszy sektor finansowy podlega jeszcze jednemu podatkowi – od transakcji finansowych (0,1 proc. od transakcji giełdowych i 21 euro od transakcji międzybankowych).

Te obciążenia sprawiły, że od 2010 r. sam tylko sektor finansowy zapewnił węgierskiemu budżetowi ok. 3,6 mld euro dodatkowych wpływów. Ogół przyjętych rozwiązań podatkowych mających na celu zapewnienie wpływów z tych źródeł, które środków mają pod dostatkiem, przyniósł bardzo wymierne efekty. Dochody sektora finansów publicznych wzrosły do 46,6 proc. PKB w 2012 r., podczas gdy jeszcze w roku 2006 wynosiły 42,3 proc. Polskiemu sektorowi finansów publicznych, którego dochody należą do najniższych w Europie i w 2012 r. liczyły 38,3 proc. PKB, taki zastrzyk środków niewątpliwie by się przydał. Tym bardziej, że wiele z naszych usług publicznych (np. służba zdrowia) cierpi na chroniczne niedofinansowanie.

Te działania zwracają uwagę nie tylko swoją skutecznością, ale też przemyślaną precyzją i solidnością. Ściągnęły one środki z obszarów gospodarki, które nie tylko tradycyjnie przynoszą największe zyski, ale też są na Węgrzech zdominowane przez podmioty zagraniczne. Dzięki temu wzmożona akcja podatkowa nie obciążyła nadmiernie podmiotów rodzimych. A w związku z tym, że nowe zobowiązania nie były wprost wymierzone w podmioty zagraniczne (a tylko w sektory, w których dominują), Komisja Europejska nie miała podstaw do ingerencji. Co więcej, opodatkowano tylko te branże, w których nie ma możliwości łatwego przeniesienia działalności zagranicę, bo związane są ściśle z obsługą konkretnego rynku (jak telekomunikacja czy wielkopowierzchniowy handel detaliczny) albo uzależnione są od lokalnej infrastruktury (przypadek energetyki). Firmy musiały więc zacisnąć zęby i znieść dodatkowe obciążenia bez

możliwości szantażu ucieczką.

Trudno nie zauważyć, że i w tym zakresie skorzystanie z węgierskich doświadczeń mogłoby być dla Polski bardzo korzystne. Nasza sytuacja jest bowiem pod wieloma względami podobna. Również w Polsce sektory najbardziej dochodowe są zdominowane przez kapitał zagraniczny – szczególnie sektor bankowy i handlu wielkopowierzchniowego, a w znacznym stopniu również telekomunikacyjny, szczególnie po lekkomyślnych prywatyzacjach Polskiej Telefonii Cyfrowej i Telekomunikacji Polskiej. Istnieje ponadto w zagranicznych przedsiębiorstwach zjawisko masowego ukrywania zysków przed fiskusem – podatek dochodowy płaci w naszym kraju ledwie połowa działających tu firm zagranicznych! Opodatkowanie obrotów, a nie zysków sieci telekomunikacyjnych czy instytucji finansowych mogłoby przynieść nie tylko znaczne wpływy budżetowe (sektor bankowy w ostatnich latach generuje rekordowe zyski), ale też nie odbiłoby się negatywnie na krajowej gospodarce. Nie musiałoby to wcale przełożyć się na wzrost cen za usługi – od tego są regulatorzy krajowi (UKE, UOKiK czy KNF) oraz unijni, żeby dbać o to, żeby firmy z wymienionych sektorów nie przerzucały nadmiernej części kosztów na klientów. Skoro udało się np. znacznie ograniczyć koszt opłaty interchange, pobieranej przez banki za obsługę płatności kartą, oraz koszty roamingu za rozmowy międzynarodowe w obrębie UE, to jasne jest, że istnieją możliwości zadbania o interes konsumentów.

Polski sektor bankowy, podobnie jak do niedawna węgierski, jest w większości oparty o kapitał zagraniczny. Nawet po kupnie Nordei przez PKO BP wciąż tylko ok. 40 proc. sektora znajduje się w krajowych rękach. Niezwykle ważne dla suwerennej gospodarki jest posiadanie silnych instytucji finansowych kontrolowanych przez kapitał krajowy, które w razie kryzysu stabilizowałyby sytuację np. wzmożoną akcją kredytową, zamiast przerzucać swój kapitał do spółek-matek. Na Węgrzech jeszcze do niedawna kapitał krajowy kontrolował jedynie 30 proc. sektora bankowego, jednak w wyniku polityki

rzędu Orbana zaczęło się to zmieniać. Najpierw ogłoszono, że celem jest co najmniej 50 proc. i zaczęto w tym kierunku systematycznie zmierzać. Na pierwszy ogień poszedł Szechenyi Bank, w którym państwo węgierskie przejęło 49 proc. udziałów. Po wykupie przechodzącego spore kłopoty banku MKB z rąk BayernLB za 55 mln euro cel 50 proc. został osiągnięty, a na tym nie koniec. Rząd Węgier już doszedł już do porozumienia z General Electric (w Polsce znanego jako właściciel Banku BPH) w sprawie kupna Budapest Banku, który w przeciwieństwie do MKB ma się całkiem dobrze. Po tej transakcji w rękach węgierskich znajdzie się już większość tamtejszego sektora bankowego. Rząd Orbana nie zamierza przetrzymywać tych aktywów w nieskończoność – zapowiedział, że odsprzeda je prywatnemu kapitałowi krajowemu, gdy tylko nadarzy się okazja.

Powinniśmy z uwagą spojrzeć na te kroki Węgrów szczególnie teraz, gdy z naszego rynku zamierza się wycofać Raiffeisen, który już przygotowuje się do sprzedaży swych tutejszych spółek-córek, a o podobnym kroku przebąkuje podobno Millennium. Może się okazać, że podobna okazja odzyskania chociażby części sektora bankowego już się nie powtórzy.

Pod koniec ubiegłego roku rząd Orbana ujawnił kolejne plany, tym razem związane z zagranicznymi sieciami hipermarketów. Podobnie jak nad Wisłą, również nad Balatonem zdominowały one handel detaliczny. Część pomysłów opiera się o rozwiązania znane i sprawdzone wcześniej – np. wprowadzenie stałego progresywnego podatku obrotowego (na wzór omawianego wcześniej podatku kryzysowego, który już zakończył swe obowiązywanie). Wynosiłby on 1 proc. od obrotów powyżej 50 mld forintów i kolejny procent na każde kolejne 50 mld. Maksymalna stawka wynosiłaby 6 proc. i objęte nią byłyby podmioty z obrotami powyżej 300 mld forintów (czyli ok. 4 mld zł) – ten warunek obecnie spełnia tylko Tesco. Najwyższa stawka, trzeba przyznać, jest zaskakująco wysoka i wątpliwe, że zostanie ona utrzymana długofalowo.

O ile jednak podatek obrotowy jest już pomysłem dość dobrze

znanym, o tyle szczególnie zaciekawienie wzbudzają pozostałe elementy działań planowanych na rok 2016. Orban zapowiada m.in. zamykanie hipermarketów, które nie wykażą dochodu do opodatkowania przez dwa lata z rzędu. Pomysł iście rewolucyjny i wart śledzenia, szczególnie przez Polaków, którzy także muszą użerać się z praktykami sztucznego zaniżania dochodów przez podmioty zagraniczne, wśród których są również hipermarkety. Kolejne pomysły mają na celu przede wszystkim wsparcie mniejszych, rodzimych detalistów. Mowa tu o zakazie handlu wielkopowierzchniowego w niedzielę, uniemożliwieniu sieciom hipermarketów prowadzenia darmowych linii autobusowych dowożących klientów oraz otwierania placówek blisko zabytków wpisanych na listę UNESCO. W polskich warunkach szczególnie ten pierwszy pomysł wart jest rozważenia (pozostałe dwa miałyby u nas marginalne znaczenie), gdyż mógłby realnie wspomóc osiedlowych sklepikarzy, zapewniając dopływ klientów pozbawionych w niedzielę możliwości zakupów w hipermarketach. Dyskusja o zakazie handlu w niedzielę powraca u nas co jakiś czas, jednak wiodące znaczenie mają w niej argumenty religijne, przez co łatwo pomysł ten zaszufładkować jako kolejną odsłonę wojny ideologicznej. Umyka natomiast ważny aspekt wpływu podobnych regulacji na pozycję lokalnych detalistów. Wzorem Węgrów czas to zmienić.

Oczywiście „orbanomika” zawiera także wiele elementów niewartych kopiowania. Trudno np. zrozumieć logikę, którą kierują się Węgrzy, z jednej strony wojując z zachodnim kapitałem, a z drugiej coraz bardziej uzależniając się od kapitału rosyjskiego. Są to m.in. kolejne kontrakty gazowe, choć już teraz 75 proc. gazu na Węgrzech pochodzi z rosyjskiego źródła, albo umowa z Rosatomem na budowę nowych bloków atomowych połączona z kredytem udzielonym przez Rosjan. Suwerenna polityka ekonomiczna nie polega przecież na tym, żeby uwolnić się z jednej zależności gospodarczej tylko po to, by wpaść w inną.

Równie szkodliwe są niektóre elementy polityki podatkowej.

Połączenie jednej z najwyższych w Europie stawek VAT (27 proc.) z jedną z najniższych stawek PIT (16 proc., a przebąkuje się nawet o obniżce do 10 proc.) to gotowa recepta na zapewnienie sobie galopującego rozwarstwienia społecznego. Nie polecałbym również węgierskiej polityki cięć wydatków socjalnych, szczególnie na zasiłki i instytucje rynku pracy – m.in. ograniczono czas pobierania zasiłku dla bezrobotnych do zaledwie 3 miesięcy. W naszej części Europy musimy w końcu zrozumieć, że wydatki na „socjal” nie wynikają tylko z dobroci serca, ale po prostu się opłacają i zwracają z nawiązką. Z Orbana powinniśmy więc wyciągnąć tylko to, co naprawdę się nam przyda i ani krzty więcej. Po pozostałe składniki naszego gospodarczego sosu proponuję udać się gdzie indziej, np. do Gunnara Myrdala czy generała Parka.

Autorstwo: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)